№ 25.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Naglowic.

ROK 1846. Poznań, dnia 14. Grudnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pól roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Świercz na ognisku.

Czarodziejska powiastka *Karola Dickensa.*

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem Miss Slowboy przemawiała do dziecięcia temi słowy jak dawniéj, wszystko kładąc w liczbie mnogiéj: a matuchny pościełają łóżka dla gości, a włosy siwe zdejmują z głów jak czapeczki, a matuchny się przelękły, kiedy siedziały przy ognisku....

Furman niespokojny przestrogą Tackeltona, chodził powoli po izbie i składał znaczenia wyrazów wyrzeczonych przez niańkę. A kiedy ta zawdziewała czapeczkę dziecięcia, i jeszcze raz powtórzyła: a matuchny się przelękły, kiedy siedziały przy ognisku, rzekł do siebie: cóż mogło Dot przerazić przy ognisku?

Odrzucał od siebie uwagi fabrykanta dziecinnych zabawek, a jednak wracały i niepokoiły jego stroskane przeczucie, bo Tackelton był bystry i podstępny, a furman czuł swe ograniczenie i podwójnie się niepokoił danemi przestrogami. Trudno mu je było połączyć z przywiązaniem Dot do jego osoby, ale uczucia najsprzeczniejsze plączyły się po jego duszy.

Wkrótce gość opuścił izbę i udał się na spoczynek, Dot stanęła z fajeczką przy mężu i nałożyła mu z całą wrodzoną sobie gracyą tytuń, bo dla Johna nikt nad nią lepiéj nienakładał i niezapalał tytuniu.

Kiedy tak zamyślony furman palił z swéj staréj fajeczki, a kościarz ścinał trawę przed pałacem arabskim na ściennym zegarze, świercz świerczył, a saganek swarzył, stanęły postacie domowe przed oczyma ducha furmana, w kształtach czarodziejskich.

I napełniła się izba Dotami wszelkiego wieku i wielkości. Doty jako wesołe dzieci uganiające się za kwiatkami na polach, Doty z udaném zawstydzeniem słuchające jego prośb i oświadczeń, Doty po ślubie wysiadające z woza i obejmujące gospodarstwo, Doty jako matki w towarzystwie swojego cienia Slowboy, która niosła dziecię do chrztu, Doty jako matrony, a zawsze młode i choże, Doty z dziećmi swojemi skaczącemi na balikach wiejskich, grube Doty z całym orszakiem wnucząt, zwiędłe Doty, oparte na kiju, z chwiejącym się krokiem. Podobnie stanęli mu przed oczyma starzy furmani, z boxerami przy nogach, nowe wozy z młodém pokoleniem Peerybinglów, a starzy chorowici furmani otoczeni pieszczotami swych wnucząt i grobarze starych furmanów z łopatami i motykami, i groby, na których darń i kwiaty się rozwijały. Takie postacie mu świerczek pokazywał, widział je wyraźnie, choć nie oczyma ciała, ale oczyma duszy — to i serce furmana rozrzewniło się szczęściem i błogosławił domowemu ognisku za to szczęście widziane i niedbał o Tackeltona uwagi.

DRUGIE ZAŚWIERCZENIE.

Kaleb Plumer i jego córka niewidoma, mieszkali osobno, w małéj chatce drewnianéj, która wyglądała jak brodawka na ogromnym nosie ceglanym Tackeltona. Budynki Tackeltona były to dzieła ol-

brzymie na téj ulicy, przy których chałupka Kaleb Plummera przyczepiona, łatwo mogła być rozbitą kilku uderzeniami młotka i na taczkach wywieziona. Powiedziałem, że tu mieszkał Kaleb ze swoją biedną i niewidomą córką, ale powiedzieć powinienem, że córka jego gdzie indziéj mieszkała, w pałacu czarodziejskim utworu Kaleba, gdzie nigdy bieda i niedostatek nie zazierały, gdzie nigdy smutek nie miał przystępu. Kaleb był biegły w czarodziejstwie, czarował głęboką i nie mającą granic miłością. Natura była jego nauczycielką w téj sztuce, i z jéj nauk powstały te cuda.

Niewidome dziewcze nie wiedziało, że wilgoć przesiąkała przez pułap i ściany, że tu i owdzie glina odpadła, że spary w ścianach i pułapie coraz się rozszerzały, że balki zagięły się i pleśnią obległy. Niewidome dziewcze nie wiedziało, że gliniane niekształtne naczynia nad kominkiem stały, że troski zamieszkały w ich domu, że przed jéj obliczém coraz bardziéj siwiały włosy Kaleba. Dziewcze niewidome niewiedziało, że mieli twardego i skąpego pana, że Tackelton był Tackeltonem takim, jakim go poznaliśmy; rozumiało, że to jest człowiek osobliwszy, który będąc ich opiekunem stróżem, nie chciał ani słuchać słów wdzięczności.

A wszystko to zdziałał Kaleb jéj ojciec! Ale i on miał swego świerczyka na ognisku, który poszeptywał w nocach osierociałych, że to dziewcze największe nieszczęście zamieni mu w błogosławieństwo, że tak drobnemi środkami dojdzie do szczęścia. Bo świerczyki są silnemi duchami, chociaż tylko ludzie nie umieją z niemi rozmawiać, a nie masz głosu łagodniejszego i przychylniejszego w domu, nad głos świerczyka, którym przemawia do dzieci ziemi.

Kaleb i jego córka pracowali społem w warsztacie, który zarazem był ich izbą mieszkalną, było to osobliwsze miejsce. Pełno w nim było domów, gotowych i niegotowych, dla pupek rozmaitego stanu. Domki na przedmieściach dla pupek średniego stanu, kuchnie, sklepiki dla pupek niższéj klassy, paradne pałace dla krwi arystokratycznéj. Niektóre były wymeblowane według potrzeb tych pupek, niektóre też mogły być zaopatrzone w najwyśmienitsze stoły, krzesła, kanapy, łoża i roboty tapicerskie. Wysoka szlachta i szanowna publiczność do których należały te gmachy, leżała w koszach rozmaitych po kątach, patrząc wprost na pułap zbutwiały. Rozróżniając przecie stany, łatwiéj sobie ci pracowici zaradzili, aniżeli świat rzeczywisty, który nieraz dziwne wyprawia igrzyska. Fabrykanci bowiem pupek nie ograniczyli się na dowolnych różnicach, na atłasie, katunach i łatach wiszących, ale dołączali osobliwsze różnice. Tak wysokiégo rodu szlachcianka miała członki urobione z wosku kształtnie, jéj rodzinie i całemu stanowi wyższemu nadawali takież członki, niższa klassa miała członki ze skóry, a najniższa z grubego płótna. Lud zaś pospolity miał ręce i nogi z drewienek do zapalania i tak stali pod gołém niebem, bez domu i potrzeb codziennych. Oprócz tego stały u Kaleba niezliczone armaty, tarcze, miecze, piki i flinty, małe błazenki w czerwonych porteczkach, które nieustannie wchodzili na wysokie drążki i z nich na drugą stronę głowami naprzód schodzili, konie począwszy od kształtu gomułek, aż do prawdziwych rasowych. Nie było jedném słowem żadnej wady na świecie, któréjby tu nie naśladowano.

Śród tych przedmiotów pracował Kaleb i jego córka. Niewidome dziewcze robiło ubiory dla pupek, a Kaleb nadawał kolory domom dwupiętrowym.

Bieda i troska osiadły na twarzy Kaleba i raczéj czyniły go podobniejszym do alchemisty, bo tak sprzecznie odbijały od rodzaju jego zatrudnień i figli które pupki wystrajały, a jednak Kaleb, gdyby nawet został lordem szambelanem, członkiem parlamentu lub adwokatem, nie pokazywałby więcéj namysłu, jak nad temi rzeczami, które mu zapewniały utrzymanie życia, tak drobiazgowość, kiedy chodzi o życie, staje się arcy-ważném zatrudnieniem.

— Byłeś więc mój ojcze wczora wieczorem podczas deszczu w swym nowym ubiorze u Johna? — rzekła córka Kaleba.

— Tak, byłem w moim ślicznym, nowym ubiorze — odpowiedział ojciec, spoglądając na ubiór swój z parciaku, któryśmy dawniéj opisali, a który teraz suszył się na powrozie rozwieszony.

— Bardzo mnie cieszy, żeś go kupił mój ojcze!

— I do tego od sławnego krawca à la mode. Ten ubiór prawie za dobry jest dla mnie.

Niewidoma dziewczyna przestała pracować i rzekła wesoło: — za dobry, dla ciebie ojcze nic nie może być za dobre.

— A prawie wstydzę się go nosić — rzekł Kaleb, patrząc na skutek swéj mowy, malujący się na twarzy swéj córki. — Kiedy słyszę chłopców za mną biegnących i wołających: ot, to mi pan elegancki, wtenczas nie wiem gdzie mam oczy podziać, a jako wczora żebrak u nas nie chciał odejść i uwierzyć, że jestem pospolitym człowiekiem i powiedział: pan łaskawy ze mnie żartujesz, przezco mnie zawstydził; tak właśnie i wczora myślałem sobie, że nie mam prawa do noszenia takiego ubioru,

O szczęśliwa niewidoma dziewczyna, jak była szczęśliwą w téj chwili! — Widzę cię ojcze — rzekła, klaszcząc w ręce — tak jasno, jakbym oczy miała, przy tobie zawsze jasno widzę. Granatowy ubiór —

— Jasno-granatowy — rzekł Kaleb.

— Tak, tak, jasno-granatowy! — zawołała dziewczyna i pojrzała w niebo, to ten kolor, który sobie przypominam, kiedym jeszcze miała wzrok dobry.

— Nie ciasny ale obszerny — dodał Kaleb.

— Tak! nie ciasny, ale obszerny! — wołało radośnie dziewcze i serdecznie się śmiało. — I ty w nim kochany ojcze, z wesołém okiem, śmiejącą twarzą, chodem żwawym i ciemnemi włosami — tak młodo i tak ładnie wyglądasz!

— No, no moja dzieweczko! — rzekł Kaleb — ty mnie nauczysz próżności.

— Ja myślę, że ty już nim jesteś zadosyć — zawołała rozochocona niewidoma dziewczyna i pokazała na niego palcem. — Znam ja cię, ojczulku! Ha, ha, ha, teraz cię złapałam.

Jak różny był obraz jéj duszy, w porównaniu z Kalebem, który naprzeciw niéj siedział. Wspomniała o jego żwawym chodzie i miała słuszność. Od wielu, wielu lat nieprzechodził progu swéj izby krokiem zwyczajnym, powolnym, lecz żwawym, obrachowanym na złudzenie biednéj niewidoméj, a chociaż na jego sercu ciężki zawisł kłopot, nigdy niezapomniał udawać lekkiego chodu, który jéj wesołość i odwagę dodawał.

W téj chwili Kaleb udawał najweselszy humor i zaczął śpiewać, wszystko to na uspokojenie swéj córki czynił.

— A! ślicznie śpiewacie, rzekł Tackelton, nagle wpadając do izby, nakształt szpiega. Dalejże śpiewaj Kalebie, bo ja nie umiem.

Nikt inny oprócz Tackeltona niebyłby pomówił go o wesołość i śpiewność, bo twarz wychudła i zakłopotana, wcale nie wyglądała na śpiewaka.

— Ja czasu nie mam do śpiewania — rzekł Tackelton — ale cieszy mnie, że wy macie.

— Spodziewam się, że też czas macie do roboty. Ale trudno śpiewać i pracować.

— Ach, gdybyś mogła go widzieć Berto, jak on na mnie kiwa — szeptał Kaleb dziewczynie — wielki z niego figlarz; gdybyś go nieznała, pomyślałabyś, że on nam daje przycinki, nieprawda?

— Tak zawsze wesoły z nami — rzekła Berta.

— I ty tu jesteś? — rzekł Tackelton — biedna obłąkana! On był pewny, że Berta była obłąkaną, bo go lubiłą nie wiedzieć za co.

— No, jak się masz Berta? — rzekł z głupowatą wyższością Tackelton.

— Ach! bardzo, bardzo dobrze, i dziękuję panu za ową doniczkę róży, którą postawiłam na oknie, aby ją słońce czerwone ogrzewało, dziękuję Bogu, że tak piękne stworzył rzeczy na świecie, i tobie panie Tackelton za twoją łaskę. — W tém wzięła rękę Tackeltona i pochyliła lica ku niéj i ucałowała serdecznie tak, iż Tackelton rozczulony, niewiedzieć z jakiéj przyczyny, rzekł: głupia, widocznie głupia lub obłąkana.

Teraz Kaleb w istotnym zostawał kłopocie, aby córkę nie wyprowadził Tackelton z przyjemnego błędu, bo Kaleb udał przed nią, że te podarunki pochodzą od bogatego Tackeltona, a sam z uszczuplonego grosza, zakupował niejednę niespodziankę dla swéj córki.

— Berta — rzekł daléj Tackelton — ty wiesz zapewne, że dziś tu przyjdzie żona rozpieszczona Peerybinglego, tak jak zawsze o te czasy i wyprawi wam piknik, nie prawda? — rzekł Tackelton z wyrazem zgorszenia na twarzy, z powodu takiéj rozrzutności.

— Tak, przyjdzie, odpowiedziała Bertha.

— Chętnie chciałbym tu przybyć na wasz piknik, rzekł Tackelton.

— Czy słyszysz ojcze? zapytała niewidoma dziewczyna z prawdziwą radością.

— Słyszę, słyszę, moje dziecie, mruczał Kaleb pod nosem z oczyma w słup stawionemi nakształt lunatyka.

— Mam zamiar moją Ellen Fielding zapoznać z Peerybinglą, rzekł Tackelton, ja biorę ją za żonę.

— Za żonę! zawołała niewidoma Berta i cofnęła się na kilka kroków zamyślona. Wesołość zniknęła z jéj lica spuszczonego. Po trzykroć wstrząsnęła głową, jakby nad jaką straconą nadzieją ubolewała, ale kłopotliwe myśli nie znalazły żadnego wyrazu w słowach.

Zupełnie jest obłąkana, pomyślał sobie Tackelton, nic nie rozumie i zapytał, czy nie wiesz co to jest żenić się, co kościoł, ksiądz, zakrystyan, pojazd, dzwony, śniadanie, placki, muzyka i wszystkie te głupstwa. Nie wiesz co jest wesele? Wiem, odpowiedziała dziewczyna.

— A więc daleko więcéj pojmuje, aniżeli się spodziewałem, rzekł Tackelton. Przyprowadzę do was moją Ellen i jéj matkę, a przed południem przyszlę do was ćwiartkę skopowiny na zimno i kilka innych rzeczy do jadła. Pamiętajcie co mówię. Po tych

słowach wyszedł od nich Tackelton, pomrukując: biedne diabły!

Tymczasem w domu Johna Peerybingle dość znaczne było zamieszanie. Mała żonka jego nie mogła o wyjściu pomyśleć bez dziecięcia, a dziecie z domu wynieść, to bardzo ważna sprawa. Nie dla wagi i rozmiaru tego dziecięcia, ale dla mnóstwa innych rzeczy, które się wprzód musiały odbyć w krótkich przerwach. I tak: kiedy dziecię po wielu trudach i krzyku ubrano i umuskano, że mogło wyglądać na dziecię pierwszéj klassy, nagle zasnęło, położono je przeto pocichu do kolebki, wpakowano na główkę czapeczkę z flaneli i zasnęło i spociło się nieboże pomiędzy piernatami. Z tego stanu ruskiéj kąpieli wydobyto dziecię rospalone i błyszczące kroplami potu, dla dania mu pokarmu. Potém znów je do kolebki położono. Z tego przedziału czasu korzystała Peerybingle i ubrała się jak można najlepiéj, a tymczasem Miss Slowboy wlazła w spencer takiéj struktury, że się wydawał zupełnie oddzielném dziełem od jéj ciała, niezawisłem od reszty świata. Potém przy wspólnéj pracy matki i niańki obleczono dziecię w bielutinki płaszczyk i dano mu na główkę czapeczkę nankinową. Tak w kilka chwil ubrani stanęli we drzwiach, przed któremi stary koń tyle wydeptał ziemi, ile wydepce na drodze bitéj za dzienną opłatą drogową, a tymczasem boxer wybiegł daleko naprzód, oglądał się na konia, zachęcając, aby się puścił bez pozwolenia w drogę.

Tymczasem siadła Miss Slowboy z dziecięciem do woza, poczciwy John jednym rzutem wsadził swą maleńką i chożą żonkę za niemi na siedzenie i sam zaciął konia i chyżo ruszyli w drogę z odwiedzinami do Kaleba. Powietrze było burzliwe, zimne i wilgotne. Ale kogoż obchodzą takie bagatele? Zapewne ani Dot, ani Tilly Slowboy, ponieważ jazdę uważały za szczyt wszystkiego szczęścia i nadziei na ziemi. Ale boxer najpoetyczniéj bujał po świecie, gonił po drodze za gęsiami i inném spłoszoném ptastwem, które bynajmniéj nie szukało jego przyjaźni, zaglądał do każdéj chałupy, stawał przed każdą studnią i ciągle zakreślał koła, elipsy, aż nareszcie stanął przed chatą Kaleba, zaszczekał, a na głos znanego boxera wyszła niewidoma dziewczyna i z właściwą sobie cierpliwością czekała na zapowiedziany przyjazd młodéj Dot i jéj męża Johna.

U Kaleba już znajdowała się Ellen Fielding wraz z matką, małą, gorącą a starą damą, a z bardzo surowém i poważném spojrzeniem. Tackelton odgrywał rolę przyjemnego zalotnisia z widocznėm uczuciem swéj wyższości i przekonaniém, że się w swoim znajduje żywiole.

— Ellen! moja kochana, dawna przyjaciółko! zawołała Dot, ściskając ją serdecznie. Jak jestem szczęśliwą, że ciebie widzę.

Jéj dawna przyjaciółka równie się ucieszyła jéj widokiem, i był zaprawdę piękny widok, tych serdecznych uścisków. Tackelton miał wyborny smaczek, to nie ulega żadnéj wątpliwości, Ellen była bardzo piękną.

Doświadczyliście zapewne tego nie raz, że kiedy piękna twarzyczka, do któréj przyzwyczailiście się, spotka inną ładną twarzyczkę, cokolwiek traci na swym wybornym wdzięku na chwilę i zaledwie zasługuje na tę uwagę, któréj przed chwilą była przedmiotem. Ale tu nie było tego przypadku, ponieważ twarz Elleny podnosiła piękność Doty, a Doty twarz tak Ellenie sprzyjała, że niemal byłby John Peerybingle w swéj szczerocie zawołał, że to są rodzone siostry.

Tackelton przyniósł ze sobą ćwiartkę skopowiny i o cudo, tort z cukrami, ale któż zważa na rozrzutność, kiedy chodzi o przypodobanie się swojéj narzeczonéj; przecież człek nie codzień się żeni, — oprócz tych łakotek były jeszcze zastawione pasztety, orzechy, pomarańcze i ciasta. Tackelton nareszcie powstał i zaprowadził swoją przyszłą teściową na pierwsze miejsce. Na tak ważną uroczystość wdziała na głowę stara i majestatyczna dama ogromny czepiec, godny uszanowania i czci ze strony młodzieży. Miała też na rękach rękawiczki i zdawała się mówić, niech żyje elegancya!

Kaleb siadł obok córki, Dot ze swoją przyjaciółką obok nich, poczciwy furman zajął miejsce naprzeciw, a Miss Slowboy tak została usadzoną, aby główki dziecięcia z żadnym nie uderzała przedmiotem. Gdy rospatrywała się po zabawkach dziecinnych, po domach malowanych i pupkach porostawianych w izbie z szaloną roskoszą, Tackelton bynajmniéj nie podzielał wesołości żony Johna, która ciągle zagadywała mu jego narzeczoną Ellen.

— Ach moja Ellen, rzekła Dot, co za zmiany! Zupełnie odmłodniałam na wspomnienie o naszéj dawnéj szkole i wspólnych zabawach.

— Przecie nie jesteś pani tak starą, rzekł Tackelton.

— Spojrzyj pan tylko na mojego męża, odrzekła Dot, on najmniéj do moich lat jeszcze dwadzieścia dodaje, nieprawda Johnie?

— Tak jest, czyni razem czterdzieści, odpowiedział John.

— A wieleż pan dodasz do wieku swéj Ellen, doprawdy zgadnąć nie mogę, rzekła Dot z śmiechem. Na przyszłe swe urodziny pewnieby policzyła lat sto.

— Ha, ha, ha! rozśmiał się Tackelton, ale śmiech jego tak był głuchym, jak bębna, a wyglądał, jakby jéj chciał kark skręcić z całą roskoszą zimnéj zemsty.

— Boże, Boże, co to było, przypomnij sobie, cośmy chodząc do szkoły, rozmawiały o mężczyznach, których chciałyśmy sobie wybierać, rzekła Dot. Nie przypominam sobie, jak młodego, pięknego i wesołego mężczyznę wybierałam na męża, a cóż dopiero jakim twój miał być — Boże! nie wiem teraz czy mam się śmiać czy płakać, kiedy pomyślę, jak głupiemi byłyśmy dziewczętami.

Zdawało się, że Ellen się namyślała, co by jéj z tych dwóch rzeczy uczynić wypadało, bo jéj lica się zczerwieniły, a w oczach łzy stanęły.

— Doprawdy żywych sobie obierałyśmy narzeczonych, rzekła Dot. Nie myślałyśmy bynajmniéj jak rzeczy się skończą. Ja nigdy nie myślałam, że pójdę za Johna, a gdybym tobie powiedziała, że oddasz rękę Tackeltonowi, zapewne dałabyś mi klapsa. Nieprawdaż Ellen?

Acz Ellen nic na to nieodpowiedziała, nie było można też wyczytać z jéj twarzy zaprzeczenia.

Tackelton śmiał się albo raczéj rzał, jak koń stary. I John Peerybingle śmiał się zwyczajnym i serdecznym głosem.

A jednak nie mogłyście się nam oprzeć, rzekł Tackelton. O to nas macie! oto nas macie! a gdzie się podzieli wasi śliczni młodzi narzeczeni?

Niektórzy z nich pomarli, rzekła Dot, o drugich zapomniano. Inni stanąwszy tu pomiędzy nami, aniby uwierzyli, że my jesteśmy te same dziewczęta ze szkoły; nie uwierzyliby w to, coby tu obaczyli i usłyszeli, że jest rzeczywistością.

— Aleź Dotku, żonko, rzekł furman.

— Dot też mówiła z takiém uczuciem i takim ogniem, że było potrzeba ją upomnieć. Jéj męża przestroga była łagodną, uważał za swój obowiązek, przestrzedz Dot, dla obrony Tackeltona. I przestroga była skuteczną, bo Dot razem ucięła i nic więcéj nie mówiła. Ale i podczas milczenia, zdradzała pewne krwi wzburzenie, co dostrzegł Tackelton chytry, swém nawpół zmrużoném okiem i zachował w pamięci dla pewnego celu, który sobie ułożył, jak w krótce obaczymy.

— Ellen nie mówiła ani słowa, źle czy dobrze, siedziała ze spuszczonemi oczyma, i nie brała żadnego udziału w rozmowach. Teraz matka jéj ozwała się poważnym głosem, że dziewczęta, pozostaną zawsze dziewczętami, że co się stało, to się drugi raz nie wróci, że młodzi ludzie, póki są młodymi i lekkomyślnymi, zapewne też byliby lekkomyślnymi w życiu, — nadto dodała kilka innych zdań moralnych. Potém pojrzała pobożnie ku niebu, podziękowała Bogu, że jéj córka Ellen zawsze była dobrém i posłuszném dziecięciem, a co się tycze Tackeltona, ten ze strony moralnéj na żadną nie zasługiwał naganę, a jako zięć zapowiadał najpiękniejsze nadzieje, czemu żaden rostropny człowiek nie mógł zaprzeczyć. Mówiła to z wielką deklamacyą. Co zaś dotycze familii, z którą Tackelton się połączy, wiadomą jest rzeczą, że chociaż podupadła na majątku, jednak policza się do rodzin znakomitych, i tylko okoliczności, zmiany, strata w handlu i spekulacya indychtem nadwątliła bogactwa domu. Daléj oświadczyła że niechce mówić o przeszłości, o niechęci swéj córki do Tackeltona, że o wielu innych rzeczach nie chce się rozwodzić, acz o nich jak najobszerniéj rosprawiała przez kilka godzin. W końcu oświadczyła, że najszczęśliwsze są te małżeństwa według doświadczeń niewątpliwych, które się skojarzyły bez romansowéj miłości. Na samym zaś końcu uroczyście zapowiedziała towarzystwu, że dzień jutrzejszy, jest dniem, dla którego przez całe życie żyła; że nic więcéj sobie nie życzy, jak umrzeć po jego zakończeniu i być pochowaną w grobie ze wszystkiemi zaszczytami, które jéj się należą.

Tymczasem John Peerybingle spieszył się w swój objazd zwyczajny, pożegnał towarzystwo i puścił się w drogę za swemi interessami codziennemi, które zwykł był z całą sumiennością dopełniać. Przyrzekł wreszcie swéj maleńkiéj Dot, że za parę godzin powróci i zabierze ją do domu. W krótce téż zatętniała podkowa u starego konia, a boxer naprzód wyprzedzał po drodze furmana.

Przez cały czas wpatrywał się melancholijny Kaleb w twarz swojéj córki i rzekł nakoniec: Berto, co ci jest, tyś się bardzo zmieniła, jesteś smutną od samego rana. Powiedz mi kochana Berto!

— O ojcze! zawołała niewidoma, ciężki, ach ciężki los nas dotyka.

— Tak, to bolesna rzecz jest, być niewidomą całe życie, moja kochana Berto, rzekł Kaleb.

— Nigdym z tégo powodu się niesmuciła! przerwała niewidoma. Chciałam tylko czasem ciebie lub jego widzieć, tylko raz jeden, mój ojcze kochany, raz tylko jeden, na małą minutę, bym poznała twarz twoją, ale bałam się znowu, żeby pa-

mięć się moja nie zatarła, alеć to nie stanowiło mojéj boleści, przebacz mi.

— Starzec jéj nie rozumiał i otarł łzę rozczulenia.

— Zaprowadź mnie ojcze do niéj, rzekła Berta, nie mogę przed nią zataić, zaprowadź mnie do Ellen.

— Ellen widząc swe imie wyrzeczone przez niewidomą, sama zbliżyła się do niéj i uchwyciła ją za rękę.

— Powiedz mi, rzekła do niéj Berta, czyli prawda mieści się w twych pięknych oczach.

— Sama prawda, kochana Berto! odrzekła Ellen.

— Na to z płaczem niewidoma odpowiedziała: w mojéj duszy nie masz innego życzenia, jak to jedno, abyś była szczęśliwą, aby błogosławieństwo spływało na twoją głowę. Dziś serce pękało mi z boleści, kiedym się dowiedziała, że ty masz zostać jego żoną. Darujcie mi, że to powiadam, ojcze, Ellen, Mario!

— Szczęściem Dot stała niedaleko i przerwała rozmowę swoją przytomnością umysłu, zanim Ellen lub Kaleb mogli odpowiedzieć.

(Dokończenie nastąpi).

Jana Chrzciciela Seja

niektóre spostrzeżenia nad ludźmi i społeczeństwem.

(Ciąg dalszy.)

Monteskiusz w każdém dobraném towarzystwie uważał dwa gatunki osób: jedne co bawią, drugie, co myślą. O Monteskiuszu! cóż ci te zawiniły! co ni bawią ni myślą, żeś o nich zapomniał!

Rozmowa.

Wacław. Żyć po pustelniczemu jak dotąd żyłem, dłużéj niepodobna; trzebac mi świat poznać i zrobić sobie wstęp do dobranych towarzystw, co się zowie la bonne compagnie. Ale jak sobie tu począć?

Żegota. Trzeba pochlebiać, bawić, a przynajmniéj nie obrażać niczyjéj miłości własnéj.

Wacław. Cóż więcéj?

Żegota. Nic.

Wacław. Żartujesz.

Żegota. Wcale nie.

Wacław. Kto się, naprzykład, sprzeniewierzył na urzędzie, lub sprawę ojczyzny poświęcił podłemu zyskowi, taki zapewne nie może miеć wstępu do dobranych, jak je zowią, towarzystw.

Żegota. Czemu nie, jeżeli zręcznie ukrył swój niecny postępek, ma jaki tytuł, albo gwiazdę, albo krzyż?....

Wacław. Jeżeli tak, vive la bonne compagnie! Dopóki dobranych towarzystw nie zabraknie, kraj może być pewny swojego szczęścia, nie prawdaż?

Ludzie wielkiego świata nie lubią dzieł dających czytelnikowi wiele do myślenia; czytanie bowiem takowych wydaje im się nazbyt trudną pracą. Istotnie zaś nie lubią ich dla tego, że trudniéj jeszcze niż je czytać, byłoby z nich korzystać; tyle wyświecają wad i ułomności ludzkich! Czegóż więc chce wielki świat? Oto zapewne, aby sobie nikt pracy nie zadawał dla pozbycia się różnych wad i ułomności, aby się to samo jakoś zrobiło.

Gustaw przeczytał z upodobaniem świéżo wyszłe dzieło: znalazł w niém wiele myśli nowych i trafnych; wychwala téż autora i przepowiada mu, że w literaturze stanowić będzie epokę. Myślisz może, iż Gustaw przyswoił sobie tu wszystkie nowe i trafne myśli, że oświecony niémi sprostował swoje dawniejsze wyobrażenia, że według nich będzie mówił i działał.... Broń Boże! on o tém nawet nie myślał; wszystko co dobrego wyczytał przeleciało mu przez głowę, jak przelatuje wiatr przez pustą stodołę. Zrób mu tylko uwagę, że tam były jednak dobre rzeczy, nawet własném jego zdaniem, a wręcz ci odpowie: wszystko to dobre, ale tylko w książkach! — Półgłówku! co tylko jest w książkach, a nie może miеć praktycznego zastósowania, na nic się wcale nie zdało.

Kto chce poznać stopień umysłowego ukształcenia osób, z któremi przestaje, niech uważa na ilość przedmiotów, w jakich może z niémi prowadzić porządną rozmowę. Im ich wiadomości będą obszerniejsze i rozmaitsze, tém samém ich ukształcenie musi być filozoficzniejsze. Jakoż, przesądy będące nabytémi opiniami nie przez długie rozmyślanie i rozumowanie, ale po prostu przez ślepą ufność w cudze zdania, nie przypuszczają wszechstronnéj rozwagi, gdy tymczasem opinie wyrozumowane

dają się modyfikować nowem światłem. Z filozofem można rozumować o początku świata, z żydem niepodobna. Dla tego ostatniego początek świata opisany jest doskonale w Księdze Rodzaju.

To prawidło jest powszechne. Naprożno byłoby o najlepszym kształcie rządu chcieć rozumować z człowiekiem, który ślepo wierzy, że nad rząd jego prawowitego monarchy nie może być lepszego rządu. Nie można równie mówić o zasadach moralnych z takim, co zdaje się mieć przekonanie, że np. niewstrzemięźliwość o tyle tylko jest naganną o ile jest karogodną według praw krajowych, a nie w miarę złych skutków spływających z niéj na społeczeństwo.

Roztropność radzi, gdzie i kiedy nastawać na przesądy a gdzie i kiedy szerzyć zdrowe pojęcia.

Dwie są ludności w Paryżu całkiem od siebie różne. Jednéj przeznaczeniem jest tylko pracować i cierpieć; w chwilach wypoczynku, jeżeli ma kilka groszy, wychodzi za miasto, i poświęca swój szczupły zapas na taniec i napitek. Drugą ludność stanowi tak zwany **wielki świat**; ta znowu, skoro się rano ze snu przebudzi, zaczyna zaraz myśleć jak ma wieczór przepędzić (i to całe jéj zatrudnienie), a na wszystkie zabawy zwykła te przekładać, które ją z koła zwyczajnego życia przenoszą w inną sferę, i przedstawiają jéj zawsze coś nowego.

Rzecz oczywista, że jedna i druga klasa za mało ma czasu, aby umysł zahartować i usposobić go do wielkich przedsięwzięć. Wielkich też przedsięwzięć należy się spodziewać tylko po małéj garstce ludzi, obojętnych na zgiełk wielkiego świata.

Uchybić komu w stosunkach codziennego pożycia jest prawie zawsze znakiem braku wychowania; bo dobre wychowanie naucza obchodzić się uprzejmie z drugimi. Dla tego należy być grzecznym, jeżeli nie przez wzgląd na samego siebie, to dla zyskania sobie szacunku.

Kto się na żarcie od razu poznaje, okazuje nie mały rozum, a jeszcze większy okazuje ten, kto żart przyjmuje bez obrazy. Jest to prawidło bez wyjątku

---

Głupiec z pretensyami jest podwójnie głupim i nawzajem, głupiec bez pretensyi, jest tylko na pół głupi.

Moraliści nasi krzywdzą kobiety; bo ich rozumowania na to wychodzą, że ta płeć umie tylko kochać. Zapewne kobiety są naszémi matkami, córkami, towarzyszkami w szczęściu i nieszczęściu; słowem, częścią fundamentalną społeczeństwa ludzkiego. Uważano, iż pod przyjaźnią, którą w nas wzbudzają, wyradza się inne uczucie zależące od różnicy płci. Być to może, i można to nazwać jak się komu podoba; ale to pewna, że to nie jest miłość, o jakiejby chciano mówić.

Kobiety przywięzują się do mężczyzn raczéj dla ich, niż dla swojéj przyjemności, podobnie jak się przywięzują do dzieci, w miarę podjętych około nich starań i trudów. Dla tego to (wyjąwszy osoby zepsutych obyczajów) znajdujemy dla nas tyle przyjaźni u kobiet, których niegdyś posiadaliśmy względy. Ogólnie mówiąc, jest w sercu ludzkiém temu uczuciu inne zupełnie podobne, a które w nas wzbudza życzliwość dla drogich nam przedmiotów. Dobroczyńca więcéj zwykle czuje przywiązania do tego, któremu dobrodziejstwo wyświadczył niż ten czuje dla niego; i zaiste, jest to nadmiarem szczęścia umieć w porę i bez poniżenia się przyjąć dobrodziejstwo. Jeżeli kto inaczéj działa przez zbyt uraźliwą próżność, jest to z jego strony brak taktu w postępowaniu.

Anglicy nie zwykli kobietom robić komplementów; kochają je przecież, jak wszędzie indziéj, bo ich niepodobna nie kochać; ale, koniec końcem nie robią im komplementów, które uważają za wymuszoną obłudę, i z tégo się bardzo pysznią. Nie pojmują oni, że jeżeli komplement nie jest istotnie wyrazem prawdy, okazuje przynajmniéj chęć podobania się, a ta chęć jest zawsze pochlebna dla wzbudzającéj ją osoby. Komplementa robione kobietom są jak grzeczności, które sobie świadczą osoby dobrze wychowane; zastępują one uczucie, jak grzeczności zastępują życzliwość lub uszanowanie. Są one zawsze objawieniem przyjemnéj skłonności serca; a ponieważ je każdy uważa tylko za to, czém właściwie są, nie mają w sobie nic nieprzyzwoitszego, a mają wiele powabu.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

— Wkrótce ma być przedstawioną nowa opera Rossyniego „Robert Bruce.“ Rossyni powybierał

najpiękniejsze arye z dawnych swych oper, które tak są dobre jak nowe, ponieważ nikt ich nie zna. Rossini jak wiadomo długo pisał opery, nim się powszechnie spodobał i dla tego zapomniano o nich zupełnie, być może, że nie wiele też były warte. Jednakowoż znajduje się w nich mnóstwo pięknych aryi, które nie zasłużyły, na zapomnienie o nich. Te arye wyszukał stary mistrz, i z nich pozszywał Roberta Bruce. Myśl nie zła, muzyka zapewne będzie piękna, ale czy tym sposobem dobra utworzy się opera, rzeczą jest wątpliwą.

MODY.

Paryż, dnia 1. Grudnia 1846.

Zaczynają się teraz krzątać około sukien balowych i widzieliśmy z tego rodzaju bardzo piękne. Jednę z nich ujrzeliśmy z tkaniny satynowanéj i broszowanéj w kolorze niebieskim, z bufkami tulowemi na bokach, nad któremi znajdowały się girlandy ze wstążek atłasowych; drugą z pięknego atłasu pomarańczowego, orzuconą trzema szerokiemi falbanami z czarnych koronek, nad któremi przechodziły trzy sznelowe sznury i odznaczały się nadzwyczajną lekkością. Nad bertą z czarnych koronek podobny sznur sznelowy znajdował się. Nadto widzieliśmy suknię z kitajki różowéj włoskiéj z dwiema rzędami bufek z tulu, w których znajdowały się maleńkie kokardy z wązkiéj wstążki atłasowéj, u powłoki znajdowały się dwie falbany szerokie koronkowe, które jedna od drugiéj na rękę odstawały, a nad któremi podobny był wystrój z wstążek. Stanik ułożony we fałdy, rękawy krótkie, z bufkami tulowemi i maleńkiemi kokardami z wstążek. Inny ubiór składał się z powłoki z białéj mory z dwiema grubemi bufkami tulowemi, nad któremi znajdowały się mniejsze w małém oddaleniu. Obie bufki tworzyły zęby, a między każdym zębem kokardka z wstążki. Garnitur zachodził aż do kolan.

We włoskim teatrze, gdzie widzimy najświeższe toalety, jeszcze się dotąd nie okazały ostateczne zmiany w modzie, jakto zazwyczaj bywa na początku każdéj pory. A mianowicie zdają się być bardzo piękne ozdoby głowy, ale dotąd są skromne. Widzieliśmy maleńkie czepeczki z liściem z aksamitu granatowego i wstążką ozdobione w kolorze złocistym; daléj czepeczek fanchon, złożony z wązkich pasków koronkowych i wązkich aksamitnych wstążek w kolorze granatowym; strój głowy, z żółtą różą na boku, z diamentowaném liściem, a z drugiéj strony szarfa biała złotem tkana.

Bardzo są piękne małe czepeczki Montpensier z hiszpańskich koronek, z maleńkim wianeczkiem pąkówia różanego, przy którym znajduje się kokarda Ludwiki z czarnych koronek i czerwona róża nakrapiana czarno.

Pomiędzy najbogatszemi odzieniami wierzchniemi, które damy na siebie zarzucają podczas wychodzenia z teatru, widzieliśmy jeden z białego kaszemiru, podszyty niebieskim atłasem i orzucony niebieską pilśnią, drugą podobną opończą atłasową w kolorze pensée, białym atłasem podszyty. Widziano też rozmaite oszycia futrem, u lekkich tkanin łabędziki lub gronostaje, u aksamitu chinchillę i sobole.

Koronki bardzo są teraz modne, a moda przeważa w smaku hiszpańskim, a do tego koronki należą. Stroje na głowę są także z koronek, a nawet kapelusze zdobią koronkami. Gaza złota z piórem nakapaném złotem stanowi strój głowy kastylijski, który bardzo wygląda ujmująco.

Objaśnienie ryciny.

1. Surdut wierzchni. Frak sukienny. Krawat kolorowy. Kamizelka kaszemirowa. Pantalony w paski.
2. Kapelusz z niestrzyżonego aksamitu, jedném piórem zdobny. Płaszcz atłasowy, orzucony czarną koronką. Suknia z kitajki włoskiéj.
3. Strój włosów z girlandą. Suknie z połyskującéj jedwabnéj tkaniny. Opończa atłasowa, oszyta sznureczkami.

Z numerem 26. Dziennika domowego, kończy się rok siódmy tego pisma, uprasza przeto redakcya Szanownych Prenumeratów o wczesne zamówienia na rok przyszły pisma tego na król. urzędach pocztowych.

Redaktor *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*